

Tygodnik,

24. *Stycznia* — 4. — 1818.

DO REDAKTORA TYGODNIKA.

Polskiego i Zagranicznego.

Mości Redaktorze!

Mając teraz wolną chwilę, zdaję mi się, iż niemogę jéj lepiéj użyć, jak pisząc list do WWPana.

Co wyraziwszy, mam honor zostawać z winném uszanowaniem, Jego

najniższym sługą.

L. Ł. M.

Post Scriptum. — Jeżeli się WWPanu, mój sposób pisania podoba, możemy wnijść w listowną Korrespondencją.

NAUCZKA z PISTOLETAMI.

Anekdota prawdziwa.

W pewnem mieście francuskiém w niezgorszéj kawiarni siedział mały męczyzna niepozornéj figurki, palił fajkę i czytał gazety. Ubrany był zupełnie czarno, ale modnie.

Wkrótce wpadł tamże z wielkim hałasem Major L. Wielki to był burda. Każdemu lubił zajść w drogę; zawsze miał w ustach jakieś grubijaństwo; słowem robił hańbę dla stopnia który posiadał; za nim wtłoczyła się zgraja Poruczników i Podchorążych.

Major był pod dobrą datą. Stanął za stołkiem czytającego, i objaśniając zagasił mu świécę. Roześmiali się przytomni, lecz nieznajomy zapalił ją nazad z największą flegmą i czytał daléj. Tu dopiéro poznał Major z kim ma do czynienia. „Dobry wieczór, Bakałarzu

Dobrodzieju!- zawołał; podał mu rękę, wstrząsnął nią mocno, a w momencie gliniana fajka na kawałki się rozleciała.

„Markier! drugą fajkę!” zawołał nieznajomy. Nowy śmiéch między przytomnemi. „To anioł nie człowiek” - rzekł Major z szyderskim uśmiéchem, ale nie wiedząc co daléj począć, poszedł do drugiego pokoju, i zaczął partję wiska.

Czarny mężczyzna czytał gazety, palił fajkę, i pił herbatę, nie okazując najmniéjszego poruszenia.

Po niejakié chwili wstał, poszedł do drugiego pokoju, wziął Majora za guzik od sukni, i ostro mu w oczy spojrzawszy, rzekł: „Mój Panie jutro rano będziemy się strzelać.”

„Do prawdy?” - przerwał Major - Pan Dyrektor przyniesie zapewne swoją dyscyplinę.”

„Nie zrobię Panu wstydu strzelając się z nim. Jestem Kapitanem okrętu w Angielskiéj służbie. Jutro więc o szóstéj w alejach.”

Kapitan odszedł. - Pan Major chciał ze wszystkiego żartować, ale mu się koncepta nie wiodły. Czarna osóbka musiała zrobić na nim potężne wrażenie, bo był bardzo roztargniony, robił błędy najoczewistsze i cierpliwie słuchał, jak młodsi Oficerowie dość jasno dawali mu do zrozumienia, że jeśli dzisiejsza lekcja, tyle skutkowała, jutrzejsza większych jeszcze spodziewać się każe korzyści.

Nazajutrz cała wczorajsza kompanja stanęła z Majorem na oznaczoném miejscu. Kapitan już czekał na nich. Miał na sobie mundur paradny. Pozdrowiono się obustronnie z największą grzecznością.

Ponieważ Kapitan sam przybył, przeto jeden z towarzyszy Majora, ofiarował mu się za sekundanta.

„Dziękuję Panu - rzekł Kapitan. Nie potrzeba mi sekundanta. Mam mego Dżokeja przy sobie. Jeśli padnę, będzie on wiedział co robić. Jesteście Panowie Oficerami z Armji, którą bardzo szacuję; nie obawiam się więc gwałtu i niesprawiedliwości. Panie Majorze! jeśli nie masz dobrych pistoletów, proszę wybrać między mojemi."

Zawołał Dżokeja. Ten trzymał pod pachą safjanową szkatułkę. Otworzył ją Kapitan. W axamitnych futerałach, błyszczały dwie pary najkosztowniéjszych pistoletów. Major podziękował i przeniósł broń swoją. Mina jego była poważna i uroczysta. Nigdy go jeszcze w takim stanie nie widziano. Zmięszało go postępowanie Kapitana. W spokojnéj jego twarzy, widział śmierć pewną dla siebie.

Nabito pistolety, odmierzono piętnaście kroków, przeciwnicy stanęli na miejscach.

„Panie Kapitanie - rzekł Sekundant Majora - jesteś skrzywdzony, masz pierwszy strzał."

Kapitan wymierzył. Ponura cichość w całym towarzystwie. Major zbladł. Kapitan odstawił. „Ponieważ Pan Major nie miałby już drugiego strzału, gdy-

bym ja miał piérwszy, przeto niech Pan Major strzela" Na to rzekł Sekundant Majora: „Zbyt zapewnionym Pan się zdajesz być w swojéj sztuce. Czujemy jego szlachetność, ale jesteś bez sekundanta; zdałeś się na nas i na nasze prawa. Proszę strzelać."

„Nie zdaję ja się tylko, ale jestem w saméj rzeczy pewnym mojéj sztuki.- odpowiedział Kapitan.— Mój pistolet nie chybia. Zobaczycie sami Panowie.

„Dżokej- zawołał po angielsku na służącego swojego- rzuć co do góry." Ten dobył chustki." „Nie to, coś mniéjszego, pieniądz lub guzik."

Dżokej dobył śliwki z kieszeni. „To dobrze- rzekł Kapitan - rzuć ją." Dżokej rzucił ją dosyć wysoko, Kapitan wymierzył i strzelił, a śliwka na kawałki się rozprysła.

Zimna trwoga przejęła widzów. Major był więcéj umarły niż żywy. Chciał się jednak odważnym pokazać, i ustnie podziwienie swoje wyjawić; ale nic nie mógł wymówić, dobrze, że jeszcze oddychał.

Kapitan nic nie mówił, nabił pistolet i stanął na miejscu „Panie Majorze! proszę strzelać."

Sekundant chciał się znowu sprzeciwić, ale Kapitan przerwał mu mowę, i ostrzéj trochę zawołał „proszę strzelać."

Major strzelił i chybił.

„Jeszcze raz Panie Majorze! źleś mierzył. Jeśli zginę, będzie to szczęście dla wszystkich Panów. Wszyscyście się wczoraj ze mnie śmiali, wszystkim dziś po kolei zajrzy mój pistolet w oczy."

Te słowa, jak piorunem raziły przytomnych. Każdy uniewinniał się w duchu. Sekundant nie był już przeciwny drugiemu strzałowi, bo Major strzelał za wszystkich; a każdy był przekonany, że jeśli straszny flegmatyk teraz nie polegnie, to wszystkich zastrzeli jak wrobli.

Major wymierzył, ćmiło mu się przed oczyma. Anglik spokojnie patrzał mu się oko w oko. „Wczoraj - rzekł wreście z uśmiéchem - byłem bakałarzem dla dzieci, dziś będę bakałarzem dorosłych. Zbyt wysoko WPan celujesz. Zaręczam, że mnie tak nie trafisz." Major strzelił i chybił; Kapitan przymierzył i znowu odstawił.

„Panie Majorze! Jesteś biédny człowiek. Gadałem wczoraj z wielu ludźmi; źle mówią o tobie. Za parę chwil żyć przestaniesz. Czy jesteś w zgodzie z ludźmi i z Bogiem? trzeba się modlić, trzeba przebłagać ludzi, których skrzywdziłeś. Boże bądź miłościw jego duszy. Panowie moi zdejmcie kapelusze! Gdy rozmawiamy z wielkim Stwórcą świata całego, trzeba mieć głowy odkryte. Módl się Majorze. Ojcze nasz! któryś jest w niebiesiech i t. d.

Wszyscy zdjęli kapelusze i Dżokej swą czapeczkę. Majora serce biło potężnie. Jedną nogą stał już w grobie. Wzniół oczy w niebo. „Amen" - westchnęli wszyscy i nakryli głowy. Wybiła godzina Majora. Twarz jego była jak chustka. Drżał jak listek. Ledwo, że się utrzymywal na nogach.

Aby skończyć jego cierpienie, prędko wymierzył Kapitan, ale jeszcze prędzéj odstawił; dał pistolet Dżokejowi, rzekł z pogardą: „Ten człowiek nie wart prochu angielskiego." i odszedł.

Wieczorem czarno ubrany znowu się pokazał w kawiarni, ale nikt go nie zaczepił. Major wyszedł ze służby.

ORZEŁ i ŚLIMAK.

Na wierzchu dębu, bystrym swoim wzrokiem,
Ujrzał raz orzeł ślimaka.
„Powiedz mi jakim doszedłeś tu krokiem,
Spytał się - może zasługa jaka
„Wzniosła tu ciebie, lub jakim staraniem?"
„Nie - rzekł mu slimak - czołganiem.

O ileż takich slimaków,
Znajdzie i u nas Polaków.

M.

PRZYRZECZENIE NADAREMNE.

Nie raz przyrzekałem dumnie,
Miłość nie postanie u mnie,
Kupido serca nie dopnie,
Choć wszystkie strzały wysunie.
Jakto było nierostropnie!
Czuję ujrzawszy.......

Alexander Kożuchowski.

KAŻDA RZECZ MA DWIE STRONY.

(Ciąg dalszy).

Raz pewnego Malarza wsadzono za długi do więzienia. Rzetelność malowała się na twarzy tego człowieka: zdawał się być ciężko zmartwionym. Paweł litując się nad nim, umyślił zebrać pomiędzy swojemi przyjaciołmi składkę, na wsparcie tego nieszczęśliwego, który był razem ojcem licznéj familji. Ale niespodzianie, przybiegł do Prezydenta, w tymże samym zamiarze młody Adolf, którego Paweł niesądził być zdolnym do tak wspaniałego czynu. Znał go tylko z widzenia, a już cierpiał do niege skrytą nienawiść; bo Adolf był pełen miłości własnéj, wszędzie udawał mędrka, mięszał się do każdéj rozmowy, i zwykł był wszystkim narzucać swoje zdanie. W Teatrze nieobyczajny ten modniś, dyktował w głos publiczności, kiedy jéj ganić, lub chwalić, płakać lub śmiać się wypada: ponieważ zaś w rzeczy saméj posiadał wiele powierzchownych wiadomości, a ludzie pospolicie lubią, kiedy ich kto w myśleniu wyręczy, uchodził przeto powszechnie za wyrocznię w tém wszystkiem, cokolwiek pięknych sztuk dotyczyło. Ten sam Adolf, przybiegł do Prezydenta, a błagając go usilnie o uwolnienie malarza z więzienia, zapłacił wrzystkie za niego długi.

„Czy znasz go WacPan?" zapytał się zdumiony Prezydent.

„Nie, nigdy go nie widziałem" odpowiedział Adolf.

„Skądże cię więc los jego tyle obchodzi?

„Jest to obowiązek ludzkości'', zawołał i zniknął.

„O jakże byłem niesprawiedliwym, przeciw temu „szlachetnemu Młodzieńcowi!" mówił wtedy do siebie Paweł. „Ileż to razy z pogardą spoglądałem na „niego, kiedy z okularami na nosie, kręcił się po „Teatrze, i szydził ze wszystkich przytomnych! Któżby „sobie wystawił, że ten sam trzpiot, pełnym jest, tak „szlachetnych uczuć?"

Jednak Prezydent, któremu cała ta okoliczność, zdawała się podejrzaną, starał się o nią wywiadywać i w końcu dociekł wszystkiego.

Ow malarz był to człowiek rzadkich talentów; ale mimo tego, zostawał w największym niedostatku z całą swoją familją. Pracował on od kilku lat, z niezmordowaną pilnością, nad wielkim obrazem, w którym całą swoją pokładał nadzieję. Wreście ukończył go, lecz długo jeszcze czekać musiał, nim znalazł kupca. Wszyscy z podziwieniem przypatrywali się, temu rzadkiemu dziełu, lecz nikt się nie mógł na kupno odważyć; 500 czer: złotych, odstraszało tych nawet, którzy lekce sobie ważą, często dwa razy tyle na jedną kartę postawić. Nakoniec znałazł się jakia Bogacz, który okazał chęć kupienia tego szacownego obrazu. Wprawdzie nie znał on się wcale na malowidłach, ale obraz wzmiankowany był mu szczególniéj

przez wszystkich zachwalony. Chciał on się tu pokazać, jako przyjaciel sztuk pięknych, i dla tego musiał uczynić tę małą ofiarę swojéj dumie. Już umówił się o cenę z malarzem, i już obraz do domu jego był zaniesiony został, gdy w tym Adolf przyszedł go odwiedzić.

„W sam czas przybywasz”, - zawołał na niego Bogacz, właśnie nabyłem kosztowne bardzo dzieło, któ„re WPanu chcę pokazać. Wszakże jesteś znawcą”

„Ja?” odpowiedział Adolf tym tonem podziwienia który to niby ma skromność malować. Udał się potem za gospodarzem, z mocném postanowieniem, popisania się ze swoją wysoką znajomością sztuki.

Przybywszy do sali w któréj stał obraz, dobył okularów, a przypatrując mu się z natężoną uwagą, zaczął naprzód poruszać głową, daléj nieco mruczyć pod nosem, a wreście surowo przeciw autorowi powstał. Tu ręka zdała mu się zbyt wielką, tam nogę znajdował niezgrabną, wszędzie pędzel nie gładki, nakoniec z obojętnością oświadczył, że całe to dzieło jest więcéj jak mierne, że farby niestosownie dobrane, jedném słowem, że u najlichszego kramarza we Włoszech, nierównie piękniéjsze znaleśćby można obrazy.

Zdumiał się na to nasz bogacz. Dla nabycia tego sławnego obrazu, porzucił on bardzo korzystne dla siebie kupno dwóch pięknych Ukraińskich ogierów, które mu raptem stanęły przed oczyma. Bez wahania się odsyła malarzowi obraz, z oświadczeniem: że nie

może go kupić, ponieważ Pan Adolf znalazł go więcéj jak miernym. Biédny malarz, mający ten jeden tylko fundusz, na zaspokojenie licznych swoich wierzycieli, musiał pójść do więzienia.

Tym czasem Adolf, który w istocie poznał całą wartość tego szacownego dzieła, i przez zazdrość tylko zniechęcał bogacza od kupna, w nadziei, że je za połowę wartości od potrzebnego malarza nabędzie, udał się do jego mięszkania. Puka we drzwi. Otwiéra mu je młoda wybladła dziewczyna. Wchodzi do izby. najtkliwszy obraz stawia mu się przed oczy. Widzi na łóżku schorzałą matkę, która w gorączce imię tylko męża wspomina. -- Dwie niedorosłe córki, klęcząc, płaczą przy niéj. Troje na pół nagich dzieci, kryją się przed nim ze wstydu. — Wszędzie widać najcięższe ubóstwo. Przenika go ten widok, wypytuje się. Najstarsza córka ze łkaniem, opowiada mu, jak przed kilką dniami uradowany jéj ojciec, znalazł kupca na ten nieszczęśliwy obraz, który miał wszystkie ich długi, zaspokoić, i całą familją na jakiś czas od nędzy zasłonić. Jak nagle odesłano ten obraz, z powodu, że jakiś Pan Adolf, uznał go za dzieło bez wszelkiéj wartości. Dodała daléj, jaką boleścią przejęła ta nowina, nieszczęśliwego ojca, i jak nakoniec oskarżony przez wierzycieli, do więzienia zaprowadzonym został. Od téj nieszczyśliwéj chwili, leży strapiona matka bez przytomności i bez nadziei życia! „Niestety!" zawołała „O gdyby ten nielitościwy Pan Adolf, mógł widziéć,

„w jaką nędzę, wtrącił familją, która go nigdy w ży-
„ciu nie obraziła”.

Na te słowa, struchlał niebaczny Adolf. - Tkliwy obraz nędzy, łzy rozpaczającéj familji, któréj nieszczęść był przyczyną rozdzierały mu serce. Pobiegł więc do Prezydenta, zapłacił długi nieszczęśliwego malarza i uwolnił go z więzienia. Czuł jednak tyle wstydu, że się nie chełpił publicznie z tym czynem. Zapytany przecież przez Prezydenta: „Skąd to pochodzi, że WPan tak wspaniałym jesteś dla tego malarza?” nie miał dość odwagi odpowiedzieć: „własny ja to dług mój opłacam„.

„Widzisz synu” - mówił natenczas Prezydent,
„Pokuta poprowadziła Adolfa do tak szlachetnego po-
„stępku. Nie jest to w prawdzie najnaganniéjszy powód
„ale ty nadto czyniłeś Adolfowi zaszczytu, kiedy po-
„dług twego nierozsądnego nałogu, nazwałeś go już,
„najwspanialszym z ludzi. Zapewne i całe miasto tak
„jak ty sądzić o nim będzie, gdy się dowie, że Adolf
„uwolnił z więzienia Malarza, którego wprzód nigdy
„nie widział.

„Tak to często ludzie, niezasłużoną sobie przywłaszczają chwałę.”

Paweł wzruszony tą nową przestrogą, opuścił ojca w głębokiém zamyśleniu. Młody Jan, dobry jego znajomy, którego zwykł był przyjacielem nazywać, zabiegł mu drogę. Pełen talentów, i dobrych przymiotów duszy i serca, szkoda tylko, że nadto był lekkomyślnym.

„Wystaw sobie, mój przyjacielu, - zawołał Jan na niego - wszystko mi szło najlepiéj. Jużem był pewny, że otrzymam urząd Kassjera- Sam Minister był za mną, wyglądałem tylko, rychło patent oddany mi będzie; kiedy nagle dowiaduję się, że Minister odmawia mi tego stopnia, a to z powodu, że tak chcą ludzie wielkiego znaczenia. Pomięszany pytam, dowiaduję się: kto są ci ludzie? Wszyscy milczą, nikt mi ich wskazać nie chce. Domagam się najpilniéj o imię mego oszczercy, ale jakież było moje zadziwienie! kiedy po długiém staraniu dochodzę, że to mój stryj rodzony, który mi tyle razy swoje przywiązanie zapewniał. Jest on opiekunem zmarłego swego przyjaciela; temu chce ten urząd wyjednać. Więcéj u niego znaczy przyjaciel, niźli brat własny."

„To niegodziwie, to podło! - odpowiedział Paweł.

„Utopię się z rozpaczy! - zawołał Jan.

„Co chcesz czynić?" odezwał się przestraszony Paweł. „Czyliż mniemasz, że śmierć siostrzeńca, zmartwi nienawidzącego się stryja? Staraj cię raczéj jego układy zniweczyć."

„O gdybym mógł tylko kilka słów z Ministrem pomówić!"

„Może ja ci pomogę"

„Co, ty?" - zawołał Jan z uniesieniem, spoglądając na Pawła okiem pełnym nadziei.

„Mój ojciec z Ministrem byli razem w szkołach; często z ukontentowaniem przypominają sobie dziecinne lata. Będę prosił ojca, ażeby się wstawił za tobą."

Jan uściskał swego przyjaciela, który z radością pobiegł do ojca.

Z początku odmawiał mu ojciec. „Prawda, - mówił on - że Jan, uważany jest powszechnie za uczciwego, i zdatnego człowieka; ale stryj jego niemniéj znanym jest ze swéj poczciwości, i ma zapewne swoje do tego powody."

„Wszakże ci mówię, kochany ojcze, że chce umieścić syna zmarłego przyjaciela. Znam ja go w prawdzie, jestto człowiek godny, ale nigdy z Janem równać się nie może."

„Chociażby nawet tak było - odpowiedział Prezydent - to przecież, muszę ci jeszcze i tę zrobić uwagę, którą sobie na całe życie zachowaj. Jeżeli chcesz mieć kogoś przyjacielem, staraj się, ażebyś go ile możności jak najmniéj potrzebował, a najlepiéj żebyś nigdy nie prosił go o nic od téj chwili, zmienią się wasze stosunki i wasza przyjaźń."

„Drogi ojcze! wszakże nie za sobą mówić będziesz."

„Wszystko to jedno. Zawsze Minister wyświadczy mi łaskę, za którą nie będę mu się w stanie odwdzięczyć; musiałby być przeto, bardzo wspaniałym, gdyby mnie w poczet swoich kreatur nie policzył."

Próżnemi były te wszystkie uwagi dla młodego

Pawła. Nie odstąpił ojca, póki mu wszystkiego nie przyrzekł. Za jego wstawieniem się, otrzymał Jan urząd Kassjera.

Jakaż to była radość dla tych dwóch młodych przyjaciół! - Jan mniemał się najszczęśliwszym, a Paweł był nim jeszcze prawie bardziéj, wystawiając sobie, że zrobił szczęście swego przyjaciela.

(Ukończenie w przyszłym numerze).

KROMA.

Poema z *Ossjana*.

Był to mojego kochanka głos słodki!
Rzadko go we śnie słyszy Malwina;
Otwórzcie gòrne domy, cne Toskara przodki!
Już mojéj śmierci zbliża się godzina.
Doszedł mię głos jego we śnie,
Nowe w duszę przelał życie . . .
Ale czemuż się wiatry tak prędko wznosicie?
Czemu się z morza zrywacie tak wcześnie?
Waszym tchem poruszone zaszumiały liście,
J tak Malwinie, sen przerwaliście.
Już widziała kochanka; z jego szatą mglistą
Łagodne wiatry igrały.
Słońce go malowało jasnością ognistą,
Jak złoto cudzoziemców, tak on błyszczał cały,

Tak ciebie ja widziałam, Oskarze jedyny!
Rzadko sny twojéj odwiedzasz Malwiny,
Lecz zawsze żyjesz z Malwiną;
Zawsze mieszkasz w mym sercu najdroższy kochanku!
Westchnienia moje wschodzą ze wschodem poranku,
Ze spływającą rosą i łzy moje płyną.

Gdy żyłeś wnuku Fingala,
Byłam podobną drzewinie kwitnącéj;
Ale śmierć twoja przyszła nakształt burzy grzmiącéj,
I drzewo z trzaskiem obala.
Nadeszła wiosna wszystko kwiatem kryje,
Lecz moje drzewo w kwiaty nie odżyje.

Smutną mię w zamku przodków zastały dziewczyny,
Kiedy przy dźwięku arfy, śpiew nucąc radosny,
Przyszły się cieszyć z powrotu wiosny.
Wtém ujrzały łzy drżące po licach Malwiny.
„Czemuż goryczą - rzekły, - każdy dzień twój struty?
„Czemuś tak smutna piérwsza dziewic Luty?
„Czyliż ci milszym mógł być kochanek,
„Niż powrót wiosny, niż wiosny poranek?

Córko pienistéj Luty, twój głos mie zachwyca!
Pewnie kiedy przy świetle bladego księżyca,
Nad Morutu brzegami, sen ujął cię twardy,
Pewnie cię dawne natchnęły Bardy,
I harmonijne pienia ci nuciły.
Dla tego głos twój tak miły.
Miłym on jest o Malwino!
Ale wskróś duszę przejmuje.

Ten

Ten żal tylko jest słodki, te łzy słodko płyną,
Przez które smutny w smutku ulge czuję;
Ale czyjeby serce pociechy nieznało,
Taki Malwino! dni przeżyje mało.
Zniknie on jak kwiatek polny,
Kiedy go słońce spiecze żary swemi,
Kiedy już kropli rosy utrzymać nie zdolny,
Pod jéj ciężarem zgina się ku ziemi.
Rozerwij smutek córko kochana!
O dniach młodości słuchaj Ossjana.

Król kazał, żagle rospiąłem,
I do Kromy popłynąłem.
Staneliśmy w Jnisfale,
Zdaleka, na górnéj skale
Baszty Krotara błyszczały.
Krotara, który za młodu
Był tarczą swego narodu,
A teraz starzec zgrzybiały.
Ufny w słabość bohatéra,
Rotmar wydaje mu wojnę
Ta wieść Flngala
Gniewem zapala,
Chce się mscić przyjaciela, ludy swoje zbiéra,
I pod Ossjanem śle hufce zbrojne.
Za Bardami na zamek roty nasze weszły,
W zbrojowni ojców siedział Król w lata podeszły,
Czarna zgryzota twarz jego mroczy,
Ciemne powagi dodają mu oczy,
Na laskę spada włos jego siwy,
Nią podpiera krok leniwy.

Właśnie dawnę piosnkę nucił,
Gdy go szczęk naszéj broni ocucił:
Porwał się z miejsca, o imię nas spytał,
I z uniesieniem syna Fingala przywitał.
„Ossjanie- rzekł potém z żalem-
„Już moję dzielność przeżyłem.
„Nie mogę walczyć, jak dawniéj z Fingalem,
„Razem nad Strutę walczyłem.
„Fingal był wielki, Fingal był wspaniały,
„Lecz się wtedy i Krotar cieszył z swojéj chwały,
„Sam Król Morwenu cenił dzieła moje,
„I zwalczywszy Kaltara, dał mi jego zbroje.
„Jeszcze ję możesz widzieć tu na ścianie,
„Lecz ślepy Krotar już jéj nie obaczy.
„Pójdź, niech ujrzę, czy ojcu równasz się Ossjanie,
„Czy godnie mojéj zemścisz się rozpaczy".

Dałem mu rękę, mocno ję przycisnął,
Westchnął, łez strumień z oczu mu wytrysnął.
I tak rzekł smutno: „Dzielnym jesteś synie,
„Lecz ten dzielniéjszy, którym Morwen słynie.
„Któż jednak smiało z rycerzy,
„Z piorunem bojów, z Fingalem się zmierzy?-
„Teraz niech uczta zamek mój ukrasi,
„Niech Bardy nucę wesoło;
„Rozchmurzmy ponure czoło,
„Przybyli do nas przyjaciele nasi."

Zabrzmiały arfy, wszczeła się biesiada,
Już radość wszystkiemi włada.

Lecz ta radość zwodnicza, tajne troski kryła,
Chmurą żałoby sercom ciężyła;
Podobna do bladego księżyca promyka,
Gdy drżącém światłem chmury przenika.
Nakoniec ucichły pienia,
Smutek milczenie zasilał:
Przerwał je stary Krotar, ani łzy nie wylał,
Ale głos jego częste tłumiły westchnienia.
„Fingala synu! widzisz smutek Kroty!
„Dawniéj nieznałem tesknoty,
„Dawniéj się ze mną ludy me cieszyły,
„Gdy jeszcze w zamku, błyszczał syn mój miły.
„Ale już zgasnął, ten blask Ossjanie,
„I ledwie w pieśniach Bardów ślad po nim zostanie.
„Oby przynajmniéj w nich słynął!
„Zginął syn mój, lecz w boju, lecz za naród zginął.
„Władzca trawistéj Tromli, Rotmar się dowiedział,
„Że zawiesiwszy na ścianie zbroje,
„Na tronie Kromy ślepy starzec siedział,
„I w spokojności pędził życie swoje.
„Łatwéj zdobyczy łakomy,
„Lud mój rospędza, zbliża się do Kromy.
„Zardzewiałe ze ściany porwałem oszczepy:
„Lecz cóż zdoła Krotar ślepy.
„Smutek jego był wielki, umysł jeszcze śmiały,
„Ale nogi już się chwiały.
„Żałuje dni spłynionych, gdy chlubne wawrzyny,
„Zdobywał na polu chwały;
„W tém wrócił z łowów syn mój jedyny,
„Jeszcze dziecinna ręka mieczem nie władała,
„Ale już dusza do boju drżała.

„Widząc ojca swojego, krok słaby i mylny:
„Monarcho Kromy! - zaczyna -
„Czylisz sie smucisz, że nie masz syna,
„Że Fovargormo jeszcze nie dość silny,
„Ale ojcze, już w sobie czuje iskry meztwa,
„Już płonę żędzę zwycieztwa,
„Krew bohatérów płynie w moich żyłach,
„Choć jeszcze młody, czuje się na siłach,
„Zbiorę rycerzy najdzielniéjszych w Kromie,
„Przysięgam ojcze, Rotmara zgromię."
„Idź synu! - rzekłem - spełnij twoje śluby,
„Zwycięż Rotmara Fovargormo luby,
„Gdy wrócisz po zadanéj napastnikom klesce,
„Niemogąc widzieć uściskam zwycięsce."
„Wychodzi, walczy, i.... ginie
„Już się zblizają nieprzyjaciele;
„A ten co miecz swój utopił w mym synie,
„Drogę do Kromy żelazem ściele."

Tak sie żalił Krotar stary.
„Nietraćmy czasu, porzućmy puhary;
Rzekłem do swoich, i miecz porwałem.
Równym przejęci zapałem;
Na błysk méj stali,
Rycerze moi z miejsca słę porwali.
Rozległe w nocy przeszliśmy obszary.
Gdy na wschodzie poranek przebudził się szary,
Wązka się oczom naszym odkryła dolina;
Po nad strumieniem, co ją przeżyna
Między ciasnemi wąwozy,
Stały Rotmara obozy.

Zajął sie bój w dolinie. Ledwie się dzień zmierzchnął,
Rotmar legł pod mym mieczem, nieprzyjaciel pierzchnął.
Na znak zwycieztwa, Królowi w pocieszę,
Z łupem pobitych do Kromy śpieszę;
Z radością je wódz stary do serca przyciska,
A ogień szczęścia z twarzy jego błyska.
Naród na zamek cisnął się wesoło,
Wonne puhary roznoszono w koło,
W tém wdzięczne arfy zabrzmiały.
Pieciu Bardów Ossjana opiewa pochwały;
Gorejące ich serce wyliwa sie w śpiéwie,
Arfa na głos ich tkliwy odpowiada tkliwie.
Wszystko w Kromie się cieszyło.
Bo niebo pokój wróciło.
Noc zawiesza wesołość, lecz gdy dzień zaświtał,
W oczach mieszkańca Kromy, każdy radość czytał.
Niegroził nieprzyjaciel napastniczą wojną,
Dało niebo ludowi szczęśliwość spokojną,
Wszystko w Kromie się cieszyło,
Bo Rotmara już nie było.

Gdy ziemi oddawano Favargorma zwłoki,
Nuciłem jego czyny godniejsze wspomnienia;
Stał przy mnie stary Krotar, nie wydał westchnienia,
Ale twarz jego, smutek zdradzała głęboki.
Pyta się, gdzie jest syna jego rana,
Z przodu ją w piersiach znajduje,
Dusza sie starca raduje.
Z roskosznem uniesieniem mówi do Ossjana,
„Wodzu! syn mój poległ z chwałą,

„I stał się ojca weselem;
„Nie pierzchał młody rycerz przed nieprzyjacielem,
„Na przeciw śmierci biegł śmiało.
„Szczęśliwi ci co walczęc, giną w życia wiośnie,
„Wieczysta sława jest ich nagrodą.
„Nie uśmiéchnie się radośnie,
„Do tych, co w domu gnuśne życie wiodą.
„Pamiątka zgonu śmiałych, potomność zachwyca,
„Często nad ich mogiłą zapłacze dziewica,
„Lecz dzieła starców, więdnieją i gasną,
„A gdy nareście snem śmierci zasną.
„Ledwie kto o nich i wspomni.
„Nad ich zgonem nie będą smucić się potomni;
„Beż żalu ich grobowiec nad ziemię wywiodą,
„I wkrótce darń go porośnie.
„Szczęśliwi ci, co walczęc giną w życia wiośnie,
„Wieczysta sława, jest ich nagrodą.

MYŚLI.

Możemy żyjących w społeczności, podzielić na **zaczepnych** i **odpornych**. Dotąd nierozwiązaną jest zagadką, i nigdy podobno nie będzie, w którym oddziale pobyt jest milszy i lepszy.

Bodajby żadne towarzystwo nie miało w gronie swojém członka, któryby **zaczepiony** przystępował dopiéro **odpornym** krokiem, do wykonywania przyjętych zobowiązań.

Najlepsze wojsko czegóż dokaże, jeżeli ma wodza umiejącego dawać jedynie o d p ó r, bez doświadczenia walk z a c z e p n y c h. Byliżby kiedy Rzymianie pokonali Annibala gdyby zamiast Scypjona, samych tylko powolnych mieli Fabjuszów.

Politowania godnym jest los narodu, w którym członki władz wyższych, śpią w największéj spokojności skoro odeprą napaści równych, zaczepki podwładnych, i zabazgrzą szczęśliwie foljały, zaczynając każdy od wyrazów: w o d p o w i e d z i, lub na p r z e d s t a w i e n i e; w którym urzędnik, wzywany o przygotowanie rosporządzenia ogólnego, za dostateczną sądzi odpowiedź: W s z a k s i ę n i k t o t o n i e s k a r ż y ł, w s z a k n i k t t e g o n i e p r z e d s t a w i a ł.

Biada młodemu nieumiejącemu rozpocząć z a c z e p n y c h kroków, i czekającemu rychło milutkie usta wyrzekną: Czy mię Pan kochasz ?

Z a c z e p k a jednak w wielu razach jest niebespieczną. Iluż to na niéj straciło !

Nigdy Annibal nie byłby przyczyną upadku ojczyzny, gdyby był mniéj n a t a r c z y w y m.

Możeż być w świecie co nudniéjszego, jak autor który pośród powszechnéj zabawy, prosi, aby urojeń jego na papiér wylanych słuchano. Skromność równie mu jest potrzebną, jak panience, ktoréj najpiękniéjsze powaby maleją, gdy sama z a c z e p i a.

Z dwojga złego, wolę w urzędowaniu zimnych lub niedołężnych, bo wyręczyciele zastąpić ich mogą, niż

tych zagorzałych, co chcą bezustannie zaprzątać biédnym mieszkańcom głowy, ustawami co chwila zmienianemi, a nigdy z całą mocą nie wykonanemi.

Jakże przykry jest ten zbiéracz nowin, który każdego przybysza częstuje zapytaniem: „ Co tam słychać? i ktory gotów z dziesięciu ust, jednychże słuchać odpowiedzi.

„Cóż więc czynić? zapyta wielu. Z trudnością dobrze wychodzą odporni; niebezpiecznie zaczepiać; jakże chcesz, aby żyć na świecie?-- Oto, nienależyć wyłącznie do żadnego oddziału. W niepewności dobrego skutku, trzymać się odpornie; bez ważnych jednak przyczyn, niewypuszczać nigdy z pamięci przysłowia: Kto nie waży, ten nic nie ma.

LOGOGRYF.

Siedem zgłosek we mnie wchodzi;
Lubią mię szczególniéj młodzi;
Weź mi z głosek ostatnią, a zmienisz mię w l a s e k,
Weź dwie piérwsze, będę p r ó ż n y.
Gdy przerobisz me członki nadasz mi kształt r ó ż n y,
Znajdziesz we mnie s t r ó j, k a r t ę, p o t r a w ę lub p i a- (sek.
Mogę być samą u c z t ą, lub c z ę ś ć u c z t y składać,
Mogę nakoniec, s z c z e k a ć albo g a d a ć,

*

Słowo Szarady w przeszłym numerze umieszczonéj jest K r y t y k a, które się składa z k r y; i z t y k a.